



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 992

leg. 1363

PIŁSUDSKY

TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

ROK 19 * TOM III * NR 28

WARSZAWA, 18 MARCA 1935 ROKU



KOMENDANT JÓZEF PIŁSUDSKI W ROKU 1916

nr. Arch. 107/36





Idzie wiosna...
Ziemia pachnąca
pod siew słońca
pręży się i rośnie.
Ponad każdym ziemi zagonem,
ponad miastem białe - czerwone
idzie wiosna
uśmiechnięta miłośnię.

Wiosno nasza —
ku tobie idziemy.
Dumnie tętni nasz karny marsz.
Nie na cudzej —
na wolnej ziemi
razem z tobą święto obchodzi
włodarz Polski od Jej narodzin
— Wódz nasz.

Złotem słońcem sypnij goręcej,
każ nam życia
jak walki się uczyć —
i mocniejsze uczynić nam ręce

i dzielniejsze serca nam uczynić,
żeby nasze dziecięce drużyny
mogły przed Nim na Imieniny
armją dobraną
na baczność stanąć
przez cały szeroki kraj.

Przyrzekamy
Panu Marszałkowi
z Niego wzór brać,
Jego kroczyć śladem.
Przyrzekamy Panu Marszałkowi,
że gdy męstwa nadejdzie próba,
nie zawiedzie z nas żadna
i żaden!
Przyrzekamy Panu Marszałkowi,
wszystkie dzieci po miastach i wioskach,
że jesteśmy
i będziemy gotowi
na Jego rozkaz!

Henryk Porębski

PIERWSZE IMIENINY W BELWEDERZE

19 marca 1919 roku mieszcząca się przy zbiegu ulic Nowowiejskiej i Koszykowej szkoła wzorowa przy ówczesnym Instytucie Pedagogicznym w Warszawie, od rana pracowała normalnie. Dziesięć był prawdziwie marcowy: niby przedwiosenny, słoneczny, a jednak dojmujący, wschodni wietrzyk nie pozwalał zapominać, że to jeszcze zima.

To też dzieciarnia szkolna, rekrutująca się w znakomitej większości ze sfer rzemieślniczych i proletarjackich,

w mniejszości zaś — inteligenckich z okolic Belwederu, siedziała po słabo ogrzanych klasach w szalikach i swetrach bawełnianych, przeważnie zdobytych z t. zw. darów amerykańskich.

Czasy bowiem były typowo powojenne. Obuwie — na drewnianych podszwach; ubrania z materiałów tkanych z pokrzyw; mydło — z gliny; pieczywo — z kartofli, kasztanów, grochu i odrobiny stęchłej mąki. O pożywienie, odzież i wszystkie przedmioty codzienne

go użytku było niesłuchanie trudno. Szkoły polskie mimoto pracowały z wielkim zapałem. Wyzwolone z obroży rosyjskich władz nauczycielstwo nie mogło się dość nacieszyć możliwością mówienia uczniom przy każdej nadarzającej się okazji o niepodległej Polsce.

Toteż gdy o 9-ej rano przyniesiono kierownicze szkoły zarządzenie ówczesnego inspektora, Stypińskiego, aby z okazji imienin Naczelnika Państwa urządzić w szkole pogadankę o jego działalności, zabrała się do tego z przejęciem.

Dziś, po 16-tu latach, kiedy obchód imienin Józefa Piłsudskiego stał się dorocznym zwyczajem, a w każdej klasie najlichszej wioski wisi portret Marszałka, kiedy o jego życiu i czynach mówi się przez radio, pisze dziesiątki broszur i książek, a w dniu 19 marca w każdej nieomal gazecie zawsze się znajdzie aktualny materiał, — niepodobna sobie uprzytomnić, jak trudno było wówczas zaimprovizować taką uroczystość.

Na szczęście znaleziono, zdaje się w Kurjerze Porannym, portrecik, przedstawiający komendanta z profilu, ze srodcie nastroszonymi brwiami. Zdobyto też wiersz Słoińskiego, jak to „nie pas na Nim lity, słucki... w szarą kurtkę ubrany komendant Piłsudski”... resztę podjęła się opowiedzieć od siebie, z pamięci, kierowniczka.

* * *

Obwiedziony zielonemi gałązkami skromny portrecik, przypięty został pluskiewkami do stojącej na wzniesieniu, czarnej tablicy, skąd nieźle był widoczny. Nie obyło się też bez czerwono-białych chorągiewek, sygnalizujących jakąś uroczystość narodową. Pani rozpoczęła pogadankę od polecenia dzieciom, by się przyjrzały twarzy Komendanta. Oczywiście, że charakterystyczne wąsy i brwi nie uszły uwagi chłopców przedewszystkiem.

— „A może które z was widziało Naczelnika na ulicy?” — zapytała opowiadająca.

— „Ja to Go codzień widzę!” — ode-

zwała się mała Dulderówna, — „bo mój tata jest stangretem w Belwederze i codzień Go wozi takimi białymi końmi”.

— „A któż jeszcze wie, gdzie jest Belweder?” — podchwyciła kierowniczka.

Okazało się, że pałacu, znajdującego się w odległości 3 minut od szkoły, większość uczniów nie widziała. Korzystając tedy z zainteresowania dzieci, kierowniczka postanowiła zaprowadzić je dziś pod Belweder.

— „A nuż Piłsudski akurat będzie stamtąd wyjeżdżał lub wychodził, to Go może zobaczymy!...”

— „Żywego?!” — z niedowierzaniem zapytała któraś z dziewcząt, przyzwyczajona, że ludzie sławni, o których mówiono na lekcjach, zwykle bywali szanownymi nieboszczykami.

— „Jaknajżywszego” — potwierdziła nauczycielka z radosną pewnością.

— „I w szarej kurtce strzeleckiej, w maciejówce i z szablą najprawdziwszą?” — interesowali się chłopcy szczegółami umundurowania, obserwując nadal portrecik Komendanta.

— „Proszę pani, jakby ja tam byłem w tym Belwederze, toby temu (?) pilnowaczowi wybiłem ze 100 albo ze sześć zębów i by Piłsudskiego wypuściłem z kozy i by on sobie poleciał i już”... — wyrwał się naraz w trakcie dalszego opowiadania o losach Komendanta jakiś pierwszoroczniak, któremu się twierdza magdeburgska pomieszała w siedmioletniej łepetynie z Belwederem.

— „A mój brat, co był za „legjona” u Piłsudskiego...” — zameldował ni stąd ni zowąd drugi siedmiolatek — „to ma takie maciejówkie z orzełkiem”...

— „Proszę pani” — poinformował raptem jakiś czwartooddziałowiec — „mój brat, co jest w gimnazjum, to mówił, że ich (!) szkoła, to napisała powin szowanie dla Piłsudskiego”.

— „I dziewczynki na pensji też!” — dorzuciła Krysia Czernecka.

— „To niech i nasza szkoła też napisze!” — zaproponował Stefek Dobrowolski.

— „Tak, to byłoby bardzo ład-

nie!” — zgodziła się kierownicza — „ale dziś jest już za późno!”

— „Nim obmyślilibyśmy co napisać, a rozumiecie, że do Naczelnika Państwa trzeba napisać ciekawie i starannie, przesłoby wiele czasu i nie zdążylibyśmy na wycieczkę.

— „Ponieważ jednak wyjdziemy dopiero po śniadaniu, za jaką godzinę — niech każde umyśli powinszowanie od siebie, napisze — ja przejrzę i najlepiej napisane, choć spóźnione, — prześlę od was „Dziadkowi”.

— „O, moje będzie najładniejsze!” — z przekonaniem zawyrokowała 8-letnia Sabinka Zychówna z II oddziału, córka wyrobnika. — „Ja wczoraj też pisałam laurkę dla mojego tatusia, bo się mój tatuś też na imię Józef nazywa”.

* * *

Malcy z zapalem rzucili się do układania życzeń, ale z największą pasją zabrała się do dzieła Sabinka. Na wyrwa-



nej z kratkowanego bruljonu kartce nasmarowała u góry kolorowymi kredkami 2 piękne cyrkonowe narcyzy z błękitnymi w czerwone żyłki liśćmi, u dołu zaś girlandę z kwieciami o niespotykanych nigdzie kształtach. Ale, że i największe arcydzieła nie tworzą się bez poprawiań, więc i Sabinka poprawiała swoje gumą z taką zapalczywością, że papier już w wielu miejscach przeświecał azurami. W ciężkim trudzie, pełnym niesamowitego wzdychania i sapania nosem, smakowicie oczyszczanym jęczmieniem z wilgoci, zjawiającej się stale pod prawą dziurką, kaligrafowała na laurce jakiś jej tylko znany tekst wierszem.

Po zjedzeniu porcji gorącej kartoflanki, dostarczanej przez Komitet dożywiania dzieci, szkoła wysypała się na ulicę. Dopiero w blasku napół wiosennego słońca, w całej jaskrawości wystąpiła sroga, powojenna bieda zarówno na szarozielonych twarzyczkach, nieprawdopodobnie zagłodzonych w czasie wojny dzieci, jak i w zrudziałej nad wyraz, nędznej ich odzieży. Człapała jednak razno setka małych obdrapańców w zabawnych beretach i kaszkietach przeróżnego kształtu i barwy z przewagą legionowych maciejówek lub rogatywek z charakterystycznymi orzełkami. Najosobliwszy wygląd miały ówczesne buty z niefarbowanej, żółtej, grubej skóry, na drewnianych podeszwach, o niebywale szerokich nosach, wiązanych często w braku sznurowała kolorowym szpagatem, tudzież drewniane podeszwy z paru rzemiennymi paskami, zamiast przyszywy.

Mimo nieustannych wysiłków nauczycielek, które często własnoręcznie szorowały glinianym mydłem małych brudasów w szkole, usprawiedliwiających niemycie się zimnem w domu rodzicielskim — w ulewie słonecznego światła przykro szarzały ziemiste od długiego niedojadania i zamorusania twarzyczki malców. Denerwowało to wychowawczynie obszarpanej czeredy. Najwięcej jednak dręczyła się wyglądem swych pupiłków kierownicza, urządzająca niechęć przegład swojej szkoły.

— Panno Wando! — meldowała zgryźliwie nauczycielce oddziałowej — Marczevska znów chustki do nosa nie ma, a nos jej przybiera!... — Cendrowski cały rękaw wyrwał pod pachą i z dziury na łokciu wata mu wystaje...

— Sabina tylko twarz dziś ochlapała, a na szyi sina pręga z brudu!...

— Pani Heleno! proszę spojrzeć na Józka Mirskiego!... On na kapocie ma z pół miski grochówki przyschniętej!... A te czarne pazury metrowej długości łap od tygodnia nie mytych!... O Boże! spalę się ze wstydu, gdy kto spojrzy na tę naszą zaszmelcowaną akademję!...

— Ta lustracja toalet i przegląd czystości na ulicy conajmniej spóźniony — sarknęła z przekąsem pani Działkowska, nauczycielka wielce ambitna, wyprowadzona z równowagi niehumorem zwierzcchniczki.

— A zresztą — dorzuciła złośliwie — choćbyśmy się wszyscy w atłasy i złotogłów zestroili, to i tak nas do Belwederu na imieniny nie zaproszą!...

— Kto też to może wiedzieć?! — z hamowanym podrażnieniem odcięła się kierowniczką. — Uwaga! proszę pań! — przerwało nagle niemłą rozmowę...

W tej chwili bowiem za plecami rozmawiających dał się słyszeć rytmiczny, metalowy plaskot wielu końskich nóg po drewnianej jezdni, a gdzieś jakby zgóry, wesolutkim, a drobnym kawaleryjskim marszem skoczyła w Ujazdowskie Aleje naiwna melodyjka orkiestry ułańskiego oddziałku.

„Ułany, ułany, ułany są”!...

To wystarczyło do wykolejenia dość spokojnie idącej dotąd dzieciarni. Długi, równy szereg par uczniowskich załamał się i przerwał odrazu w kilku miejscach.

Chłopaczyska szczególnie, jak święte batem cuganty, porwały się raptem w stronę koni i muzyki.

Groźne, natychmiastowe: „Wróć! Stój!” nauczycielek wtoczyło spowrotem bębnow do szeregu; ale o pozbawieniu dzieci przyjemności pogapienia się na wojsko mowy być nie mogło.

A i poco zresztą?!

* * *

W pozornie surowym zakazie była tylko chęć utrzymania w ordynku powierzonych malców, boć i serca ich dorosłych przewodniczek były niemniej radośnie na widok tych pierwszych ułaników, prawdziwego, własnego, polskiego wojska...

Opiewane za ich dzieciństwa jedynie w zakazanych piosenkach, i tylko na rycinach starych książek widywane „malowane dzieci — ułany” jechały sobie jakby nigdy nic alejami z zabawnym furkotem chorągiewek przy lancach, podska-

kując rytmicznie na siwawych i bułanych, parsających konikach, a pyzaci trębacze wydmuchiwali w otwartą, słoneczną aleję piosenkę o tem, jak to „na samym przedzie Piłsudski jedzie...”

Głosy srebrem błyszczących trąb radośnie darły się ku Belwederowi, ale ciepły, południowy wiatr, lecący piosence na spotkanie od mokrych czerniakowskich łąk, przekomarzał się z nią i spychał z jezdni ku dwom bokom chodników, po których z radością i dumą spacerowali w ów dzień warszawianie.

Radosna wrzawa wraz z barwnym oddziałkiem ułanów naraz wykręcać się poczęła ku Agrykoli, a siwki i bułanki, wyszczerzając zębiska, z hałaśliwym prychaniem i rżeniem, wyszkolonym, sprawnym krokiem poczęły zsuwać się na wypucowanych kopytkach wdół ku koszarom. Ułani, ich muzyka i tupot koński zginęli razem w spadzistej, szerokiej ulicy, a na ich miejsce wdarły się w aleje zatrzymane przejazdem wojska auta i pojazdy.

Rozległ się bek, gdakanie i nerwowe ujadanie trąbek samochodów, niecierpliwie dleń! dleń! zahamowanych tramwajów, które skwapliwie bzyknęły po szynach. Tłum na chodnikach zakolysał się, ruszył i cała fala ludzi z setką dzieciarni w pochodzie płynąć zaczęła pod Belweder.

Tak się tam prowadzili wszyscy nieproszeni, nieumawiani, sami z siebie, wiedzeni tem samem, jednakiem uczuciem: nacieszenia się tą pierwszą, wolną, polską wiosną w niepodległej Ojczyźnie. Zaznaczyć też chciało instynktownie radość, że jest też Ktoś swój własny, kochany, wybrany jednogłośnie na ziemi tej włodarza.

Toż to dziś Jego święto!... „Niechże mu się darzy, szczęści, wiedzie, mnoży w każdym kątku po dziesiątku! Kopa przy kopie! Snop przy snopie, a On gospodarz między kopami, tak, jako miesiąc między gwiazdami!”

* * *

Stały tak sobie po czterech rogach chodników, u wylotu Bagateli, grupy lu-

dzisków, uśmiechniętych życzliwie, bratersko, z uznaniem i współradością, obserwując podjeżdżających do pałacyku belwederskiego imieninowych gości.

Z rozpierającą, choć nieujawnioną nazewnątrz pychą, podziwiano pióropusze, szarfy, pierogi i akselbanty pierwszych obcokrajowych posłów i delegatów.

— Ten oto tu taki, a ówten drugi to stąd, ten stamtąd, zaś tamten jeszcze to aż z... Ho! ho!

— A wszyscy patrzcie, z jakim szacunkiem i estymą, powinszowaniem. A dla kogo? Dla polskiego, naprawdę własnego Naczelnika Państwa!

Zdawało się, że nawet wróble na bezlistnych kasztanach warjowały z rozciurkanej radości: „Widzicie, cie, cie! moi ludzie! Polska jest, jest, jest! Ciewy, ciewy, cierrr...”

I wierzyli w to już wszyscy, choć chwilami pytali w duchu, czy to czasami nie sen, nie ułuda... Ale stojący na skrzyżowaniu czterech ulic najprawdziwszy „polski” policjant z niesłychanym przejęciem i godnością regulował ruch nadjeżdżających pojazdów i odymał groźnie wąsate oblicze — widne spod daszka srodze spłowiałej, granatowej czapczyny z lichego ówczesnego, powojennego sukienka.

Z przejęciem i młodzieńczą gorliwością stała u wrót Belwederu warta z żołnierzy akademików, wpuszczając pierwsze w te pierwsze imieniny delegacje, po skrupulatnym u wartowników meldunku.

* * *

Biedota szkolna, przymaszerowawszy na miejsce przeznaczenia, ustawiła się ławą przy odwachu, nawprost Belwederu. Z tego punktu obserwacyjnego widać było poprzez żelazne sztachety front i obydwie skrzydła dawnej rezydencji księcia o kałmuckiej fizjonomji...

To przez te oszklone drzwi wpadli pamiętnej nocy podchorążowie z okrzykiem: „Śmierć tyranowi!” To tam, w tych historycznych pokojach drżał

przed widmem śmierci ukryty wśród niewiast, płaskonosy pólazjata, Konstanty!

Och! jakże go nienawidziły, jak pogardzały tchórzem proste serca dzieci, zasłuchanych w opowiadania nauczycielek...

— Spróbujmy przejść pod samo ogrodzenie! — zaproponowała naraz kierowniczką. — Stamtąd dokładniej obejrzyście wszystko, co was interesuje... — Przeszło pół setki par skwapliwie przeciągnęło na drugą stronę. Małe, ciekawe główki wsunęły się natychmiast między żelazne pręty, przypłaszczając wścibskie nosy do zimnego żelaza, ale pani przełożona pilnie przestrzegała linii w szeregu i odkomenderowała ciekawskich „o krok wstecz”...

— Przepraszam! Czy to także delegacja szkolna? — przyfrunął usłużnie od bramy wartownik-akademik do pani kierowniczki, wskazując na ustawionych w porządnym szereg bębnow.

— A! oczywiście, delegacja z życzeniami! — zażartowała kierowniczką.

— To proszę odrazu na dziedziniec... tu się zatrzymywać nie wolno, bo na chodniku utworzy się zator!... O! znów nadchodzi jakaś szkoła! — dodał na usprawiedliwienie swej surowości służbowej akademik.

Ku bramie pałacowej zdążyły istotnie różnym krokiem uczennice gimnazjum Szachtmajerowej.

— „Równaj szereg! Dwójkami za mną naprzód marsz!” — rozległa się niespodziewana komenda i pani kierowniczka, rozbawiona miłym nieporozumieniem, wprowadziła śmiało za sobą pierwsze szeregi małych uczniów na dziedziniec belwederski. Reszta przepychała się rezolutnie za przewodniczką, ku zgorszeniu zdumionych tem pozostałych nauczycielek.

— Proszę pań! Idziemy dalej!... Dalej, równo! dzieci! Raz! dwa! Raz! dwa!

— Do czego to podobne, ta cała heca — rzuciła oburzonym szeptem wychowawczyni Działkowska do drugiej koleżanki.

Ale obdrapana, umorusana, samo-

zwańczy „delegacja” z radosnym jazgotem chrzęściła zapalczywie drewniakami po wyżwirowanym dziedzińcu i na komendę: „Stanąć!! Stój!... Raz dwa!” — dwustu drewnianymi podeszwami odbiła równiuteńkiem echem raz, dwa! i... znie-ruchomiła...

— No, a co będzie dalej? — zapytała taktowna i nie lubiąca niejasnych sytuacji pani Helena, nauczycielka czwartego oddziału.

— A nic! — z lekkomyślną odwagą brnęła kierowniczką. — Postoić tu panie z dziećmi, a ja wejdę do pałacu i zwrócę się tam do kogo, żeby poprosił „Dziadka”, by wyszedł na ganek do dzieci... Chyba się o to na nas nie obrazi?..

Jakby odgadnąwszy marzenia pani kierowniczką, wypadł w tej chwili na ganek pałacowy wymuskany, wygalowany adjutant. Widok obdrapanej, ubogiej gromadki wprowadził go w widoczne zdumienie.

— Panie poruczniku! — dość niepewnym głosem zwróciła się prowadząca — dzieci tak bardzo pragnęłyby ujrzeć Naczelnika, czy nie zechciałby... choć... pokazać się... w oknie — zredukowała ostatecznie swą prośbę.

— To będzie bardzo trudno!... Komendant zaziębiony i od kilku dni wcale nie wychodzi na powietrze...

W tej chwili huknęły z impetem drzwi pałacowe.

Śliczny, elegancki, młodziutki oficer w dwu susach znalazł się przed panią przełożoną i szastnąwszy nauczycielkom obcasami w powietrznym niemal ukłonie, zameldował:

— „Dziadek” prosi panie z dziećmi do siebie!

Obaj oficerowie z szacunkiem ustawili się po dwu stronach wejścia, a dzieciarnia zachwycona, z radosnym piskiem, bez komendy rzuciła się ku drzwiom.

* * *

Organizatorka eskapady w tym momencie pożałowała swej odwagi, przerażona trochę sytuacją improwizowanej delegacji, ale na gorzkie żale, mimo wielkiego postu, było za późno i wszel-



kie konsekwencje tego wyczynu należało samej ponosić.

Przy pomocy koleżanek zatrzymywając więc poczęła bezładną lawinę przeciskających się bębnow i powoli, parami wprowadzać je do vestibulu.

Tu dopiero zrozumiała całą lekkomyślność swego postępcu i nastrój płochy odwagi zmienił się nieomal w przerażenie na widok groźnych min kamerdynerów.

— Na takie wyfroterowane posadzki takie ubłocone buciska i tyle tego!... — warknął niechętnie do kolegi dżentelmen w liberji.

— Do stajni pałacowej trzeba by się namyślić, czy taką zgrają można wpuścić, a nie dopiero na pokoje! — mówiły ich wrogie miny w przewidywaniu doprowadzania posadzek do porządku po tej tatarskiej wizycie.

Natomiast sprawy tych żalonych rozmyślań lokajskich, ani na chwilę nie psuli sobie humoru.

Jakby na potwierdzenie dosadnego przysłowia, że „im kto głupszy, tem śmielszy” odważnie i pewnie ładowali się para za parą do byłych wielkoksiażących komnat za panami adjutantami.

* * *

Ustawiono ich niezwłocznie w błękitnej, audjencjonalnej sali, gdzie podwójnym, a nawet potrójnym rzędem stali lśniący generałowie, czerwoni i złoci posłowie państw zagranicznych, oraz jakieś wykwintne damy w czerni i nieco jakby z boku wytworna, smukła pani ze śliczną, może 6-letnią córeczką, dzierżącą olbrzymi bukiet żółtych róż...

Dorośle towarzystwo częściowo z życzliwym, częściowo z ironicznym uśmiechem zlustrowało obdarte grono na drewnianych podeszwach.

Nie zdążyli samozwańczy goście belwederscy ustawić się jako tako, a pani kierowniczką pomyśleć, jak powitać mają dzieci Komendanta, gdy z którychś drzwi znów wychynął raptownie piękności adjutant i zameldował uroczyscie:

— Naczelnik Państwa idzie!

Zebrani mimowoli wyprostowali się i skierowali wzrok ku drzwiom, w których w tejże chwili ukazał się blady, nieco pochylony i mocno po Magdeburgu wymizerowany Piłsudski.

Skinął lekko głową swoim gościom i... raptem z pytaniem w oczach zwrócił się ku stojącej tuż przy drzwiach kierownicze.

— W imieniu... w imieniu... (czego czy kogo — zapytała siebie w duchu nie-delegowana delegatka). — W imieniu wszystkich (!!!) szkół warszawskich — wyrzuciła z rozpaczliwą odwagą, — życzymy wszystkiego najlepszego, dostojny Panie Naczelniku! Niech żyje Komendant! — podniosła do góry rękę z zawałanym atramentem palcem.

— Niech żyjee!! — bez namysłu, a z zapalem podchwyciło sto metalicznych dziecięcych głosów.

— Dziękuję serdecznie! — z uśmiechem uściśnął rękę kierowniczkę Naczelnik Państwa.

Jednocześnie bezpośrednio zwrócił się do dziatwy:

— No, a wy co mi powiecie, malcy?

— Te! Józiek?! patrz, jakie to „Dziadek” ma brwie! — półgłosem szepetem podzielił się obserwacją 8-letni Stasiek z najbliższym kolegą.

— Uhum! — potwierdził z powagą Józiek — to tak, jak było na obrazku.

— Ale „pagonów” to żadnych na sobie nie ma — uzupełnił swe spostrzeżenia Józiek.

Piłsudski roześmiał się serdecznie. Ubawiło go to bezceremonjalne sprawdzanie dokładności podobieństwa oryginału z lichą kopją, oglądaną przez chłopców przed godziną na lekcji.

— A nie boisz się mnie?! — zmaršczył nastroszone brwi Komendant.

— Się ja nie boję, bo Pan jest całej Polski „Dziadek” — rezolutnie odparł mały. Jednocześnie ujął dłonią brzeg szarej kurtki późniejszego Marszałka i wypróbował materiał w palcach zameldował Staškowi: — Uhm, kapota całkiem sołdacka, tak, jak pani mówiła!

Po raz drugi roześmiał się całej Polski „Dziadek” i pogłaskawszy blado-żółtymi dłońmi czarną łepetynę dziecka, przygarnął je do siebie.

Ośmieleni tem bliżsi komendanta chłopcy głaskali „Dziadka” po ubraniu, żalując głośnie, że nie ma on przy sobie prawdziwej szabli, ani „leworwera”, bo możeby któremu z nich dał takie „szczęście” potrzymać.

* * *

— A tej panience jak na imię? — wskazał Naczelnik na 8-letnią czarnooką, okrągłolicą Sabinkę z II oddziału.

— Sabinka! — poinformowała mała osobiście.

— A cóż ty mi powiesz, mała, co?

— Powinszowanie! — śmiało oznajmiła zapytana.

— A słucham, słucham! — dobrotliwie zachęcił Dostojny Solenizant.

Mała wysunęła się o decymetr naprzód, wyjęła z kieszonki łataną fartuszyzny sławetną, własnoręcznej roboty

„laurkę” na kratkowanej, wyrwanej z bruljonu kartce i zadeklamowała:

„Do kochającego Juzefa Piłsuckiego
z powieszowaniem Jemienin
zeszło Już słonko
Zginęli gwiazdy
Powinien panu wieszować
karzdy.
ja panu rzyche szczęścia
kortony¹⁾
długiego Życia
w Niebie Korony
kochana Sabinka”.

* * *

Józef „kochający” przez sekundę patrzył jeszcze uważnie na „kochaną” Sabinkę i nagle, odrzuciwszy nieco wtył głowę, uniósł w górę ramiona i parsknął niepohamowanym, serdecznym, głośnym śmiechem.

— Dziękuję Ci, malutka! Bardzo to pięknie napisałaś! Pokażże mi to powinszowanie!

Mocno podziurawiona bruljonowa kartka, z prześlicznymi cynamonowymi narcyzami o niebieskich liściach, przeszła do rąk Komendanta. Tekst, życzący mu „kortony” i korony w niebie, został raz jeszcze osobiście przez niego odczytany i wręczony adjutantowi do zachowania ku wiecznej rzeczy pamiętce.

Poczem Naczelnik ojcowskim ruchem pochylił się ku małej i, chcąc ją ucałować, uniósł nieco w górę, a ona z dziecięcą ufnością wyciągnęła również drobne ramionka, by objąć za szyję „całej Polski Dziadka”.

Przypomniawszy sobie jednak widocznie częste z przybierającym noskiem katastrofy, bez namysłu urządziła naraz przewencyjną cenzurę nieznośnego nosa o szary rękaw Naczelnika Państwa... Po tym zabiegu odważnie wspiąwszy się na palce, mocno, gorąco objęła schyłego Komendanta, z głośnem cmoknięciem ucałowała oba policzki najdostojniejszego w Polsce Solenizanta.

W błękitnej sali zrobiło się cicho. Na-

wet mężczyźni łzy mieli w oczach, a jakaś poważna dama z wysiłkiem gryzła wargę, by się powstrzymać od głośnego szlochu.

Rozrzewniony Komendant równie serdecznie ucałował małą, postawił ją na ziemię i aby ukryć wzruszenie, zwrócił się do ślicznej, kilkoletniej, białą ubranej panienczki.

* * *

Stała ona tu z matką, jakąś dystygowaną damą z kresów i w jednej ręczce trzymała bukiet z róż bladożółtych.

— A to co jeszcze za panna? — uśmiechnął się łaskawie Naczelnik.

Śliczna dziewczynka dygnęła wytwornie i wręczywszy nieśmiało pachnącą wiązanek, zakomunikowała szeptem:

— Stasia!

Jednocześnie zza pleców złotowłosej Stasi wysunęła się jej lewa rączka z jakimś słoikiem, który nieśmiało podała Piłsudskiemu.

— A to co? — z wesołem zdumieniem obejrzał Komendant podarunek. —



¹⁾ kortony — ma być: fortuny.

Konfitury?!... Ha! ha! ha! ha! Znacie! A jakie?

— Malinowe! — z palcem w buzi objaśniła dziewczynka.

— To mi będą smakowały, bo ja właśnie malinowe bardzo lubię. Lecz czemu ich sama nie zjadłaś i skądżeś je wzięła?

— Bo ja chciałam Panu Naczelnikowi co podarować i spytałam babuni coby można takiego, a babunia powiedziała, że Piłsudskiemu każde polskie dziecko dać powinno co ma najlepszego i dałam te konfitury... co mi przywiozła babcia...

Znów rozuczulenie i radość rzetelna na bladej twarzy Komendanta.

Słoik z konfiturami i żółty bukiet, tak jak i wysmolona laurka Sabinki.

wręczone zostały adjutantowi, odbierającemu upominki dla Solenizanta.

* * *

Dziesiątki i dziesiątki osób ścisnęły dłonie Piłsudskiego w ów dzień pierwszych jego, Naczelnika Państwa, Imienin. Setki uroczystych i szczerych życzeń usłyszały wówczas ściany belwederskie. Wiele scen ciekawych, historycznie bardzo ważkich, widywali późniejsi goście Marszałka Piłsudskiego, ale żadna zapewne nie wstrząsnęła nigdy tak sercami obecnych, jak ta, kiedy uboga, w połatany fartuszek, z ociupinkę wilgotnym z przejęcia noskiem Sabinka uściśkała się wymownie z pierwszym odrodzonej Polski Naczelnikiem.

Gen. Czerwacka-Przerzinska G. C. B.

Op. Nr. 531

SZARY MUNDUR



Hetmanili nam hetmany
z buławami, w deljach sutych,
spoglądają dziś ze ściany,
ślad przeszłości, mgłą zasnuty.

Przeszły delje i kontusze,
dawnych wieków krasne czary,
powiodł w boje swe rycerze
Wódz, przybrany w mundur szary.

Wiódł Komendant swe Legjony
krwawym ojców szlakiem starym,
w piersi serce miał gorące,
a na sobie mundur szary.

I Wódz wydarł wolność wrogom,
pochyliły się sztandary,
nie zdołała go purpura,
lecz strzelecki mundur szary.

W Twoje Wodzu pójdziem ślady
świętych znaków bronić śmieie,
a Twój cel: Ojczyzny chwała,
niechaj naszym będzie celem.

Wanda Malicka

S Z Ł A K I E M C H W A Ł Y

Dawne to lata. Minęły. Zapadły się w przeszłość. Odeszły bezpowrotnie, jak wiele innych lat.

Ale przecież pozostało po nich to, z czego my wszyscy czerpiemy dziś pełną dłoń, na czym dziś opieramy swoje życie. I zdaje się nam może czasem, że to tak właśnie musiało być i było — zawsze. Że się chodzi do polskiej szkoły. Że się widzi na ulicy maszerujących polskich żołnierzy. Że się człowiek uśmiecha do zielonych pól, do szumiących lasów — i mówi: moje. Bo ten cały kraj, jak szeroki i długi, jest przecież nasz. Niskie wsie, miasta, pola, drogi i rzeki.

A przecież było inaczej. Granice dzieliły tę ziemię. Obce mundury trzymały na niej straż. Między Warszawą, Krakowem, Poznaniem, były tamy nie do przebycia. Na trzy części rozkrajano żywe ciało Polski, na trzy części rozdarto naród. Uczyły się polskie dzieci po niemiecku i po rosyjsku. Za myśl o Polsce, za miłość ku niej szło się do

więzienia. Trzeba się było kłaniać przed obcym sztandarem i kryć głęboko w sercu swoje myśli i uczucia.

I że jest dziś inaczej — nie stało się to samo przez się. Zostało okupione krwią, która wsiąknęła w ziemię. Zostało zdobyte najgłębszym bohaterstwem, które nie cofało się przed niczem. Zostało uzyskane głęboką wiarą i niezłomnym postanowieniem.

Maleńki był oddział polskich żołnierzy, który 6-go sierpnia wyruszał pod wodzą Józefa Piłsudskiego z Krakowa, ku granicy ówczesnego zaboru rosyjskiego. Maleńki był. Nie miał odpowiedniej broni. Nie miał odpowiedniego zaopatrzenia. Nie miał wyrobionych, doświadczonych żołnierzy. Miał tylko jedno — głęboką wiarę w zwycięstwo, serce pełne miłości Ojczyzny i miłości Komendanta, który go prowadził na drogę chwały.

Poważnie, z zadumą, patrzyły mądre oczy Komendanta na tych młodziutkich żołnierzy, którzy tak gorąco odpowie-



KOMENDANT ZE SZTABEM W KIELCACH

dzieli na jego wezwanie. Jak na rodzinnych, własnych synów, patrzył na tych chłopców, którzy porzucili rodzinne domy i stawili się w szeregu.

Od pierwszego dnia Komendanta Piłsudskiego i jego podkomendnych łączyły więzy, których nie zdołały rozzerwać żadne przejścia wojenne, żadne cierpienia. Zadzierzgały się coraz silniej.

Komendant kochał żołnierzy, a oni odpłacali swojemu „Dziadkowi” gorącym uczuciem. Wiedzieli, że o nich dba, wiedzieli, że troszczy się o każdego z nich. I stąd ta nazwa „Dziadek”, która na długie lata przylgnęła do Józefa Piłsudskiego. Oznaczała ona całe zaufanie, całą miłość żołnierzy do Wodza. Czuli oni w swym dowódcy nie tylko rozkazodawcę, ale przewodnika po trudnej drodze, opiekuna, bliskie, czule na ich niedolę serce.

Ta mała garstka, która tak radośnie, nie oglądając się na nic i na nikogo wyruszyła na bój, zaufała głęboko swemu Wodzowi. Wiedzieli, że droga, którą poprowadzi, będzie dobra. Że wskaże, co należy uczynić. Że on jeden

wie, jak należy postąpić w tych dziwnych czasach, kiedy pożar wielkiej wojny ogarnął świat.

I pragnęli mu się odpłacić za to zaufanie, które w nich budził. Pragnęli wykazać czynem, dowieść swem postępowaniem, że nigdy go nie zawiodą. Że może na nich liczyć zawsze i w każdej okazji. Że pójdą za nim w ogień, że nie pożałują życia, jeżeli będzie trzeba.

Żaden dowódca nie był nigdy tak ściśle zespolony ze swoją armją, jak Józef Piłsudski z swymi żołnierzami. I w tym ścisłym związku, w tej miłości i zaufaniu leży duża część tajemnicy bohaterstwa Legjonów polskich.

Rozpoczął się żmudny, krwawy, niebezpieczny szlak walk. Wkroczenie do Królestwa. Zajęcie Kielc. Radość rozpięta serca młodych żołnierzy — oto wojna, o której marzyli, o której śnili. Do której przygotowywali się w szeregach Związku Strzeleckiego. Bo wierzyli głęboko, bo tak im mówił Komendant, że ta wojna przyniesie wolność Ojczyzny.

Więc szli radośnie. Choć trudny to był marsz. Uginały się pod ciężkim ka



OKOPY POD KONARAMI



I BRYGADA NAD NIDĄ W ROKU 1915

rabinem młode, wątłe ramiona. Bo przecież w szeregach tych, co wyruszyli zaraz w pierwszych dniach, byli chłopcy po siedemnaście, szesnaście, ba, nawet po czternaście lat... Twarde, żołnierskie buty odparzały nogi. Ciężył nieźnośnie naładowany tornister na plecach, ciężyla ładownica. Obijał się o nogi niedopasowany, za duży płaszcz. Za duża maciejówka wpadała na uszy.

Ale przecież na czele był Komendant. Kiedy było już bardzo ciężko i trudno, zawsze umiał znaleźć jakieś dobre słowo. Pocieszył, rozweselił żartem, mówionym z tą zawsze poważną, zatroskaną trochę twarzą. Dawał przykład swoją niestrudzoną energją. Swoim wielkim zapalem

I mały żołnierzyk prostował się, zbierał wszystkie siły i wędrował dalej. Bo nie mógł przecież zrobić zawodu Komendantowi, nie mógł zawieść jego zaufania. A jeśli Komendant może na swoich barkach udźwignąć cały ciężar wojny, całą troskę o swoją małą armję, całą sprawę polską, to przecież żołnierza, choćby miał tylko szesnaście czy siedemnaście lat, stać na to, żeby dzielnie dźwigał karabin i nie uważał za nieszczęście paru odparzeń na nogach.

I tak, jak wytrwale szedł w marszu, tak szedł odważnie w bój.

Bo Komendant był zawsze z nimi. Dodawał im odwagi widok jego siwego





ODPOCZYNEK

munduru, jego spokojnej zawsze twarzy, jego opanowania i spokoju.

Dlatego mężnie szli w ogień. Tylko ciężko ranni dawali się zabrać poza linię. Lekko ranni wracali spowrotem, walczyć. Chcieli aż do ostatka wytrwać w szeregu. Aż do ostatka stać w walce.

Rozpoczął się długi szereg bitw i potyczek. Rozgorzały walki pod Nowym Korczynem. W nocnych marszach, w nagłych wypadach hartował się młody żołnierz. Uczył się bez łez patrzeć na padających od kuli kolegów. Uczył się zacinać zęby w tej jednej myśli — że trzeba iść naprzód — i zwyciężyć. Grotniki, Czarkowa, Szczytniki zapisały się chlubnymi zgłoskami w dziejach Pierwszej Brygady. Przez pięć dni toczyła się bitwa pod Łaskami. Po raz pierwszy stali tu żołnierze pod ogniem artylerji. Z hukiem, z łomotem pryskały granaty, wybuchwały w niebo fontanny wyrzuconej w powietrze ziemi. Płonęło wszystko we wzmagającym się ogniu bitwy.

Ale nie zadrżały serca żołnierskie. Bo jest przecież między nimi ich Komendant. Jest na ich czele, stoi w pierwszej linii. Jakby nie działa się nic, przechodzi tyraljerę żołnierzy. Spokojnie

patrzy na pękające granaty, nie uchyla głowy, gdy ze świstem przelatuje w pobliżu pocisk.

I lęk nie ma dostępu do żołnierzy — bo pragną choć w części dorównać swemu Wodzowi. Chcą się okazać godnymi podkomendnymi tego Komendanta, który nie zna obaw ani lęku, który nie korzysta z przywilejów wyższego oficera, tylko staje razem ze swoimi żołnierzami, razem z nimi patrzy śmierci prosto w oczy.

I tak jest zawsze. Zawsze Komendant świeci przykładem, zawsze Legjoniści czują koło siebie jego pewność, spokój i odwagę, jego głęboką o nich troskę.

Toczą się walki. Pod Krzywopłotami, pod Piszczową, pod Limanową. Obficie broczy krwią młoda, szczupła armja polska. Ale napływają do niej nowi — ci wszyscy, którzy chcą służyć pod rozkazami Komendanta. Młodzież z uniwersytetów i ze szkół. Synowie robotników i chłopów. Z miast, ze wsi, przybywają ochotnicy. Zapełniają luki, które kula nieprzyjacielska, nieprzyjacielski granat wyrwał w szeregach.

Imię Wodza pociąga ku sobie. Mło-

dzi żołnierze patrzą w Niego coraz bardziej rozkochanemi oczyma. Ciężka dola żołnierska, ciężki trud, groza śmierci, krew, której tyle się leje, zespala ich na wieczne czasy. Łączy, związuje coraz mocniej.

Zmordowane, przemęczone szeregi docierają pod Łowczówek. Okopy w lesie. Z dzikim świstem, z jazgotem padają kule nieprzyjacielskie. Dzień i noc trzeba trwać na posterunku. Zdaleka od domu, w zamęcie bitwy, w czyhającym nieustannie niebezpieczeństwie spędza żołnierz legionowy tę pierwszą swoją wigilję. Dotkliwie straty w szeregach. Ale to nic. Młody żołnierz zacina zęby, roześmieje się niefrasobliwie i idzie dalej.

Ale Komendant dba o swoich żołnierzy. Pamięta, by po straszliwych nocach i dniach nieustannych walk mógł odpocząć. I te chwile odpoczynku, wyrwane krwawym dniom wojny, wiąza żołnierzy z Komendantem równie silnie, jak dni walk. Bo Komendant troszczy się o każdego. Do każdego zagada, pożartuje. Dowie się, czy były wia-

domości z domu, czy kontuzja od ułamka szrapnela goi się, jak należy. Czy wikt jest dobry. Czy się nie tęskni za swoimi. A zawsze tak jakoś mądrze, tak dobrotliwie, że znikają wszystkie troski. pozostaje tylko jedna — żeby męstwem, dzielnością, odwagą, wierną służbą żołnierską odwdziżyć się Komendantowi za całą jego dobroć.

Okopy nad Nidą. Walki pod Konarami. Ku podziwowi austriackich dowódców walczą Legjoniści. Mają swoją wielką tajemnicę, która ich stawia ponad zaciężnym żołnierzem wszystkich armij — miłość ku Ojczyźnie, dla której chętnie oddaje się życie, i miłość dla Komendanta.

Bo Komendant jest razem z nimi w okopach. Dzieli z nimi żołnierski chleb, żołnierskie twarde łóżko — i żołnierskie niebezpieczeństwo. I dlatego pogodnie i wesoło jest w okopach. Kiedy się idzie do ataku, rozbrzmiewa głośny śpiew: — Hej, strzelcy wraz, nad nami orzeł biały... — z pieśnią na ustach idzie się w bój. Z okrzykiem: — Niech żyje Polska! — umiera się spokojnie.



w poczuciu, że się spełniło swój obowiązek.

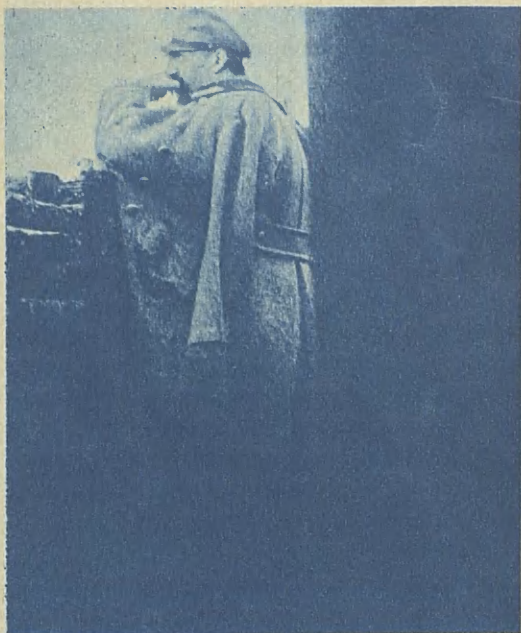
Mijają miesiące. Mijają pory roku. Opadają liście i zielenią się na nowo. Ale wojna wciąż trwa. I wciąż trwa na swoim posterunku Pierwsza Brygada. Bije się pod Jastkowem. Wędruje na Wołyń, przemierza stare, zapomniane wojenne drogi. Krwawym, trudnym, wojennym szlakiem wędruje ku Wolnej Ojczyźnie.

Pozycje nad Stochodem, nad Styrem znaczą się krwawymi śladami. W morderczej, straszliwej bitwie pod Kostuchówką Moskale dziesiątkują szeregi legjonowe. A Komendant Piłsudski trwa w reducie swego imienia, mimo huraganowego ognia artylerji, mimo deszczu kul, które padają na okopy.

W nieustannych bojach krwawi się żołnierz legjonowy. A przecież czekają go jeszcze gorsze rzeczy — więzienie, prześladowanie, obozy Szczypiorna i Benjaminowa.

Ale wytrwa.

Tak, jak wytrwają i inni, ci, którzy nie mieli szczęścia służyć pod bezpośrednimi rozkazami Komendanta.



KOMENDANT NA REDUCII

Upłynęły lata.

Na dawnych okopach szumi dziś zboże i kwitną kwiaty. Zielona trawa wyrasta na mogiłach, rozsianych po całym kraju — po polach, lasach, przy drogach, nad brzegiem rzek.



KOMENDANT ZE SZTABEM PRZED ZIEMIANKĄ



KOMENDANT Z BISKUPEM POŁOWYM BANDURSKIM W KOSTIUCHNÓWCE

Wsiąknęła w ziemię krew najszlachetniejszych synów Polski.

Ale wiara, z którą szli, wydała plon. Nie zawiedli się żołnierze na swoim Komendancie, idąc za nim radośnie w ogień. Z ich trudów, z ich ran, z ich męstwa wyrosła wolna Ojczyzna. Nie wolno nam o nich zapominać. Bo każdego

dnia korzystamy z tego, za co oni polegli.

I kiedy dzisiaj święcimy dzień imienia Marszałka Józefa Piłsudskiego, czcimy zarazem pamięć tych Jego żołnierzy, którzy poszli za Nim w bój i razem z Nim wywalczyli nam wolną Ojczyznę.

W. B.



Willa „Leśniczówka”, miejsce krótkiego pobytu Józefa Piłsudskiego, ówczesnego Brygadiera, była niewielka i zawsze zapełniona po brzegi gośćmi, szukającymi spokoju i wypoczynku.

Cały ten mały światek znał się między sobą doskonale; osobiście lub ze słyszenia.

Wiadomość o zamierzonym przyjeździe Pana Brygadiera poruszyła wszystkich.

Na jak długo przyjedzie? Czy sam, czy w gronie oficerów? Który pokój mieć będzie?

Jak ptaki latały pytania po pokojach i pokoikach.

Naturalnie, że dla Pana Brygadjera znalazł się najlepszy, duży pokój na parterze.

Pan Brygadjer z nikim nie zawierał żadnych znajomości. Cały czas spędzał w otaczającym go gronie kilku oficerów.

Czytał, pisał, przechadzał się po lesie, lub wypoczywał na tarasie.

W dni pogodne „Leśniczówka” pustoszała, kto tylko mógł używał przechadzki — deszcz zatrzymywał wszystkich w domu.

Otóż raz rozpadało się nie na żarty. Bicz wody waliły w ziemię bez przerwy. Istny potop.

Goście w willi „Leśniczówka” pochowali się do swoich pokoików i siedzieli cichutko, wzdychając i wyglądając słońca.

Willa jakby zasnęła.

Ożywiały ją na krótko chwile pośiłku.

Wówczas z korytarzy dobiegała przyciszona biegająca służba, trzask przyciskanych klamek, szcęk talerzy.

W pokoju Pana Brygadjera stół nakryty do obiadu. Przed głównym miejscem postawiono wazon z kwiatami. Pan Brygadjer siedzi przy oknie, zamyślony. Patrzy w zalane deszczem szyby. Oficerowie, zgrupowani w drugim końcu pokoju, szepcą między sobą.

Stuknęły lekko drzwi. Służąca wniosła wazę.

— Obiad podany. Zupa na stole — rzekła półgłosem.

Ale Pan Brygadjer nie słyszał jej, bo nie poruszył się nawet, nie oderwał oczu od okna. Oficerowie milczeli. Któżby śmiał przerywać zadumę wielkiego męza.

Znalazł się taki. Nagle zatupotały głośno za drzwiami czyjeś drobne kroki. Klamka trzasnęła i do pokoju wpadła młoda dziewczuszka, dopiero przed paru dniami umówiona do pomocy. W rękę

trzymała niewielki pakiecik. Śmiało skoczyła do okna.

— A to proszę pana — zacięła się, niezadowolona ze siebie — a to proszę pana oficera — znowu przeczący ruch głowy — a to proszę pana Bry-ga-dje-ra przyszedł żołnierz i przyniósł tę paczkę i powiedział, że to dla pana oficera, nie, nie, dla pana Brygadjera, więc ja paczkę wzięłam i przyniosłam.

Koniec wyrecytowała jednym tchem, szurgnęła nogą — to miał być ukłon i już jej nie było w pokoju.

Pan Brygadjer rozwinął pakiecik, wyjął jakiś list, przeczytał raz, drugi, i popadł w jeszcze większą zadumę.

Oficerowie też milczeli. A tymczasem mijały chwile. Zupa stygła.

Znowu szczęknięły drzwi i rezolutna dziewczuszka wbiegła do pokoju.

— Proszę pana Brygadjera — zaczęła odrazu swym piskliwym, dziecięcym jeszcze głosem — czy trzeba dać temu żołnierzowi obiad, czy też nie trzeba?

— Dać, dać — szepnął któryś z oficerów i ręką wskazał dziewczynce drzwi by wyszła.

Ale ona przecząco potrząsnęła głową. Ani myśli wyjść, ona musi się przedtem wszystkiego dowiedzieć dokładnie.

Podbiega do okna i pyta:

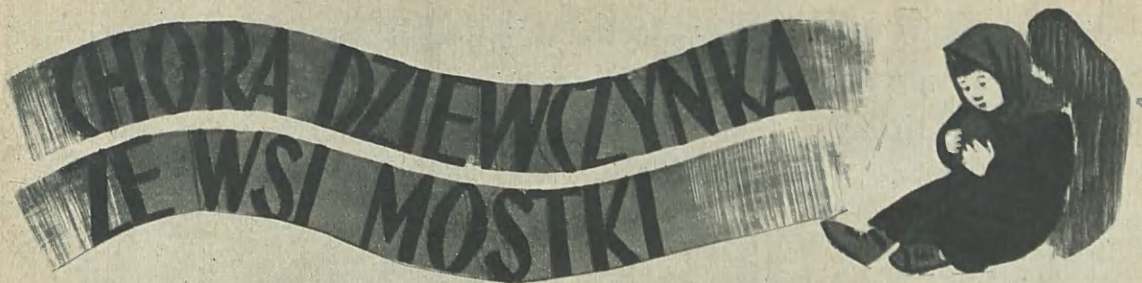
— Panie Brygadjerze, już wiem, że trzeba żołnierzowi dać obiad, ale gdzie, na ganku, czy w kuchni? Żołnierz ma całe ubranie mokre, tak go deszcz zmoczył, a w kuchni wymyto podłogę — więc gdzie mu dać ten obiad?

Żywe, ruchliwe oczęta patrzą śmiało w oczy. Pan Brygadjer przecie się nie rozgniewa — myśli dziewczuszka.

O nie! Pan Brygadjer uśmiecha się, wstaje, kładzie rękę na jej ramieniu.

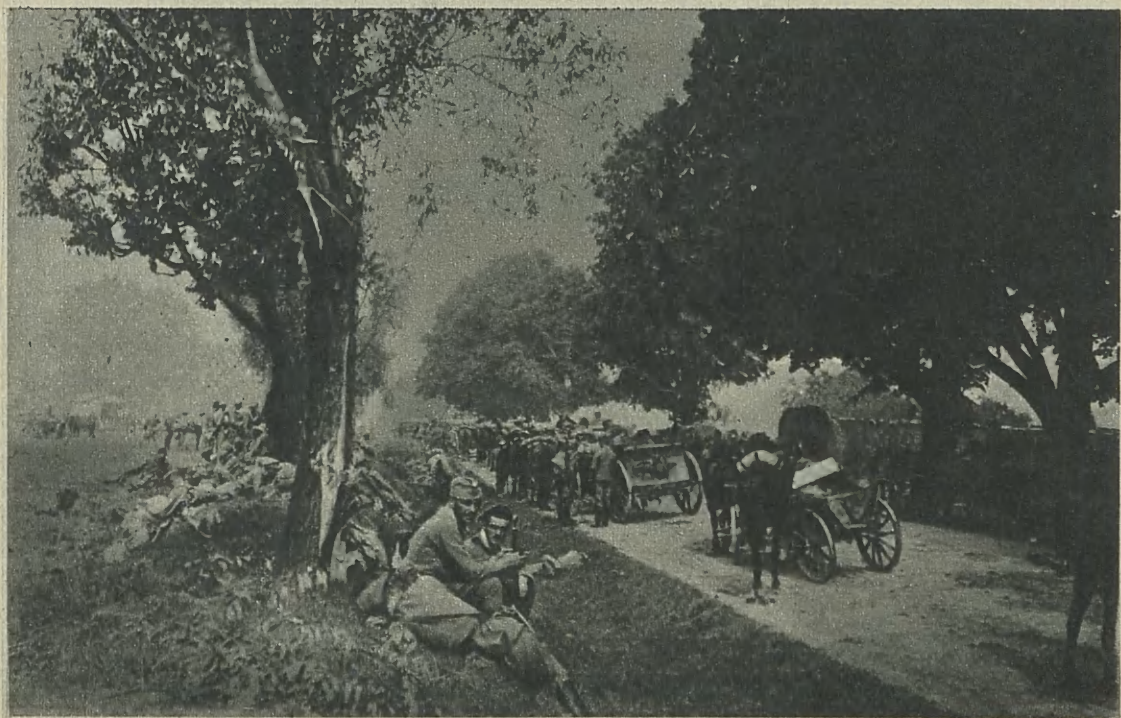
— Gdzie masz dać obiad? — powtórza. — Ależ tu, przy tym stole, dziewczynko. Razem z nami. Żołnierz, to mój brat przecie. *Jadwiga Chrzęszczewska*





Było to w maju 1915 roku. Trzeci już dzień goniliśmy Moskali, którzy w nocy uciekli ze swoich okopów nad rzeką Nidą. Trudno było ich dopędzić, bo, trzeba im to przyznać, wyrwali dobrze, a my odwykliśmy od marszów przez pół roku walk pozycyjnych. Do tego gorąco panowało straszne, a i wody brakło po drodze. Szliśmy piaszczystymi drogami przez rzadko rozrzucone wsie, nie napotykając nigdzie większej rzeki. Studnie po wsiach były przeważnie już wypróżnione przez maszerujące przed nami oddziały. Bo nasza Brygada to już teraz wielka siła: trzy pułki piechoty, artylerja, karabiny maszynowe i tabor — wielka więc ilość ludzi i koni. W niektórych wsiach ludność, widząc, że to nie „germancy” (Niemcy) i słysząc polską mowę, wynosiła na drogę wodę w dzbankach i wiadrach. Żoł-

nierze, zatrzymując się tylko na chwilę, czerpali wodę do manierek, poczem biegiem dopędzali kolumnę. Przeważnie jednak wszędzie wody już brakło i biedni chłopcy w marszu dzwonili pustymi manierkami. Szli miarowo, w gęstym obłoku kurzu, wiszącym nad kolumną, pochyleni pod ciężarem plecaków, w porozpinanych mundurach, pragnąc zwilżyć choćby odrobiną wody spieczone usta. W niektórych studniach znajdowaliśmy zaledwie parę wiader zmąconej, gliniastej wody, która była mimo to rozchwytywana. Tak było przez dwa dni. Na trzeci dzień weszliśmy w dolinę rzeki Czarnej i tu odżyliśmy nieco. Piachy były tak samo głębokie i sypkie, ale wzdłuż rzeki dał orzeźwiający wiatr, chłodzący rozpalone czoła. We wsiach było już więcej studzien i wody. Każdy pił, ile chciał.



Most na rzece Czarnej był tak wąski, że przeszliśmy go, idąc po dwóch, co znacznie opóźniło marsz.

Wreszcie doszliśmy do wsi Mostki, leżącej w dolinie rzeki. Chłopcy co chwila pytają wieśniaków, jak daleko Moskalce. Wszędzie ta sama odpowiedź: „Już dwa dni, jak pošli!”

— My ich i tak dogonimy! — krzyczą buńczucznie chłopcy.

Zatrzymujemy się we wsi na duży odpoczynek i wydanie obiadu z kuchni polowych. Już żołnierze po złożeniu broni w kozły biegną z menażkami do kuchni polowych, dymiących apetycznie parą, unoszącą się z gorącej zupy. Cicha wieś napełniła się gwarem, śpiewami, krzykiem i dzwonieniem menażek. Kwatera komendy pułku wypadła w małej chatce na brzegu wsi. Wchodzimy głodni i spragnieni po sześciogodzinnym marszu, oczekując w najlepszym razie chleba z marmeladą i herbaty, gdy oto widzimy leżący na stole kawał szynki!! Nie myślcie, że żartuję: była to prawdziwa, świeżutka szynka, w miarę tłusta i w miarę chuda — szynka, której nie oglądaliśmy już od dobrych kilku miesięcy, bo od samej Wielkiejnocy!!

Okazuje się, że parę funtów szynki udało się kupić naszemu oficerowi prowjantowemu w miasteczku Staszowie, leżącym na boku od naszej drogi. Radośnie kroimy chleb i kładziemy nań plasterki szynki, której, niestety, wcale nie jest za dużo. Ledwie zaczęliśmy jeść, gdy wpada do izby ordynans, krzycząc: — Komendant jedzie!

Zrywamy się od stołu.

— Prosimy Komendanta na szynkę! — woła obywatel major Trojanowski.

Jesteśmy już na drodze. Rzeczywiście, piaszczystą wiejską drogą jedzie powoli Obywatel Komendant, patrząc na żołnierzy, biorących obiad z kuchni. Jest zakurzony i zmęczony, tak, jak my wszyscy.

Major Trojanowski podbiega do Komendanta i prosi do naszej chaty, mówiąc, że mamy szynkę.

— Macie szynkę, doskonale — mó-

wi Obywatel Komendant, schodząc z konia.

Idziemy gwarnie i radośnie do chaty, gdzie już ordynansi postawili dla Komendanta talerz cynowy i kubek blaszany z gorącą herbatą. Gospodyni co chwilę przynosi ze dworu naręcze gałęzi sosnowych i dopycha je do ognia na kominie, by zagotować jaknajprędzej herbatę.

Jemy już chwilę, słuchając, jak Obywatel Komendant rozmawia z majorem o utarczkach, które ma Belina z Moskalami daleko przed nami, gdy wtem spod prześcieradła, którem nakryte jest jedno z łóżek, odzywa się kaszel, a potem ochrypli głos dziecięcy: — Mamooo!!

Oglądamy się — na łóżku siedzi mała, rozespana dziewczynka lat może ośmiu, chuda, biedactwo, mizerna, kaszle i woła mamy.

— Cichaj — zawołała gospodyni, dokładając gałęzi do pieca — zaro zagrzeję ci barszczu!

— Aa, mała gosposia — powiedział Obywatel Komendant, wstając od stołu i głaszcząc potarganą główkę dziewczynki. — A co taka blada? — zapytał gospodyni.

— Bóg wi od czego choruje — wystraszyła się — jak na pocuntku wojny armaty strzylały za rzyko. Nase doktory wojenne tu były, mówiły, że słabowito, trza jeść dobrze dawać, a skąd to wziąć dobrze jeść, jak wojna — dodała beznadnie.

— Ale szynki zjesz, mała? — zapytał Komendant, stając z talerzem w ręce przy łóżku.

Dziewczynka, zmieszana, nic nie odpowiadała, patrząc tylko swymi wielkimi oczami na Komendanta.

— O la Boga, panie starszy, żeby ino i dać — zawołała zamiast niej matka.

Komendant zdjął plasterek szynki ze swego chleba i podał dziewczynce — ta chwyciła szynkę w chudą rączynę i zaraz jeść zaczęła.

— Podzinkuj panu starszemu! — strofowała ją bezskutecznie matka, gdyż, nic nie mówiąc, dziecko jadło spokojnie swą szynkę.

Ledwie Obywatel Komendant siadł do herbaty, gdy wtoczył się do izby, brzęcząc ostrogami i czepiając karabinem i hełmem wąskie odrzwia izby, zakurzony, wysoki ułan — „beliniak”. Stuknął obcasami i oddał Obywatelowi Komendantowi meldunek. W chwilę po przeczytaniu meldunku od Beliny, Obywatel Komendant już wychodził z izby, by jechać naprzód, gdyż Moskale zatrzymali się i zaczynają stawiać opór naszej kawalerji. W ostatniej chwili, jakby przypominając sobie o chorej dziewczynce, Obywatel Komendant zwrócił się do mnie, mówiąc: — Doktorze, zbadajcie dziecko i pomóżcie, co można.

— Rozkaz — odpowiedziałem. Wyszliśmy na drogę. Za chwilę Komendant dosiadł „Kasztanki” i odjechał z „beliniakami” w kierunku Moskali.

Zbadałem chorą dziewczynkę, która była bardzo wycieńczona i zostawiłem proszki od kaszlu, pouczywszy gospodynię, jak ich używać.

Już wiadomość, że Moskale zatrzymali się niedaleko i że będziemy się bić, przeniknęła do naszych żołnierzy. Zbiórka do marszu odbywała się przy śpiewie:



„Nasz Komendant pójdzie z nami, Będziem walczyć z Moskalami!”

Wielu żołnierzy pozatykało na znak radości i ochoty w lufy karabinów gałązki bzu. Wszyscy byli weseli i podnieceni możliwością niedalekiej bitwy i zaprzestania uciążliwego marszu po sypkich piaskach. Siedliśmy na konie, kolumna piechoty ruszyła wiejską drogą. W oknie „naszej” chaty gospodyni trzymała na ręku owiniętą w prześcieradło małą, słabą dziewczynkę, z którą Obywatel Komendant podzielił się plasterkiem szynki.

F. Sławoj-Składkowski



NAJWIĘKSZE MIASTO

Przy ujściu rzeki Hudson do oceanu Atlantyckiego rozłożyło się największe miasto świata — Nowy Jork.

Wszystko tu jest na miarę olbrzymów. Trudno to sobie wyobrazić, jeśli się mieszka na wsi, albo w małym mieście. Trzeba sobie dobrze uprzytomnić cyfry, żeby zdać sobie sprawę z rozmiarów, na jakie tu wszystko jest zakrojone.

Już kiedy dojeżdża się do portu, zdaleka uderza wzrok podróżnego statua

Wolności, wznosząca się na małej wysypce u wejścia do portu. Wita przyjezdnych wzniesioną wysoko ręką.

Wiele jest różnych pomników — ale statua Wolności różni się od wszystkich swym ogromem. Sama postać Wolności jest wysoka na 46 metrów, a stoi na cokole, wznoszącym się na 44 metry. Porachujcie sobie. Jest to więcej, niż wieża Marjacka w Krakowie.

To też statua Wolności służy nietylko za ozdobę portu — w nocy jej oświe-



STATUA WOLNOŚCI

tlony djadem i pochodnię w dłoni widać daleko na morzu. Spełnia w ten sposób rolę latarni morskiej, wskazując okrętom drogę do portu.

A sam port? Jak Nowy Jork jest największym miastem na świecie, tak jego port jest największym portem, do jakiego na kuli ziemskiej zawijają okręty. Wybrzeże portowe ciągnie się na 100 kilometrów. Przybywają tu tysiące okrętów z całego świata — okręty pasażerskie, statki handlowe, wpływają i odpływają, przywożą i wywożą ładunek. Zabierają z portu mąkę, mięso, konserwy, metale, naftę i węgiel. Całymi kilometrami ciągną się składy, magazyny, urządzenia portowe.

Ale wielkość Nowego Jorku nie kończy się na porcie. Im dalej wędrujemy, tem większy podziw i zdumienie budzi wszystko, co możemy zobaczyć.

Nie tak łatwo jest zwiedzić Nowy Jork. Nie idzie to tak prędko, jakby się

chciało. Bo pomyślcie, że aby przejść miasto wzdłuż, musielibyście wędrować 56 kilometrów, a wszerz — 30 kilometrów. Ładny kawałek drogi, nieprawdaż?

Pierwotny, stary Nowy Jork, był zbudowany na wyspie Manhattan. Ale wkrótce zaczęło mu być tam ciasno. Zaczął się rozpierać, rozbudowywać, zajął całą połąć lądu i wiele okolicznych wysepek. Poszczególne części miasta, oddzielone od siebie rzeką i odnogami morskiemi, łączą olbrzymie mosty, przerzucone śmiałym łukiem w powietrzu. Na rzece Hudson mamy cztery takie mosty, przez które nieustannie płynie strumień ludzki.

Bo Nowy Jork, razem ze wszystkimi swojemi przedmieściami, liczy przeszło 9 milionów mieszkańców.

A bardzo różni to mieszkańcy. Spotykamy tu wszelkie narodowości i rasy — obok Amerykanów żyje w Nowym

Jorku 900 tysięcy Anglików i Irlandczyków, 800 tysięcy Włochów, 600 tysięcy Niemców, przeszło półtora miliona Żydów, 220 tysięcy Rosjan, 200 tysięcy murzynów. Są i Polacy — 160 tysięcy naszych rodaków przebywa w Nowym Jorku.

Ale spotykamy i innych — jest cała dzielnica chińska, mamy tu Japończyków, spotyka się wszelkie barwy skóry, od białej, poprzez kremową, żółtą, miedzianą, aż do czarnej, jak heban.

A całe to olbrzymie zbiorowisko ludzi żyje przyspieszonym, pracowitem życiem wielkiego miasta. Bo Nowy Jork jest miastem przemysłowym — wznosi się tu przeszło trzydzieści tysięcy zakładów przemysłowych, dających zatrudnienie setkom tysięcy robotników, i wytwarzających miliony tonn towaru, który potem rozchodzi się po całych Stanach Zjednoczonych, i wielu liniami okrętowymi płynie w daleki świat.

Nietylko miasto jest wielkie. Nietylko port. Nietylko olbrzymia jest przestrzeń, którą zajmuje, i ilość ludzi, która je zamieszkuje. Nowy Jork ma jeszcze jedną osobliwość.

Tak samo, jak nie pomieścił się na wyspie Manhattan i rozpostarł się szeroko na całą okolicę, rośnie także wzwyż — prędko, jak na drożdżach. Ulice nowojorskie, choć szerokie, wydają się jakimiś wąskimi jarami wśród niebotycznych budynków. Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt pięter — to wysokość budynków w przemysłowych i handlowych częściach miasta. Wystrzelają w niebo, jak potwory z bajki. Trzeba dobrze zadrzeć głowę dogóry, żeby zobaczyć skrawek nieba. Ale niebezpiecznie jest to robić — bo ulicami bez przerwy mkną auta, tramwaje, oszałamiający ruch oślepia i pozbawia tchu. Do tempa Nowego Jorku trzeba się dopiero przyzwyczaić. Wszyscy się spieszą — dlatego tak pędzą auta, dlatego tak szybko jadą tramwaje, dlatego wreszcie budynki tak rosną w niebo. Łatwiej jest windą zjechać nawet na sześćdziesiąte piętro, niż biegać po kilku ulicach, na których musiałyby być rozłożone niektó-

re banki, sklepy i zakłady. A tak wszystko jest bliżej. Całe życie handlowe może się pomieścić na niewielkiej stosunkowo przestrzeni.

Nowy Jork szczyli się nietylko drapaczami nieba, jak się nazywają te wielopiętrowe budynki. Ma on jeszcze cały szereg zakładów naukowych, do których zjeżdżają ludzie ze wszystkich stron. Ma wspaniałe muzea, piękne teatry, czarujące parki, wiele pomników, ma setki kościołów, setki wspaniałych urządzeń, olbrzymie biblioteki.

Wieczorem, kiedy zapada powoli noc, w Nowym Jorku jest widno, jak we dnie. Płoną kolorowe reklamy. Wszędzie. Na sklepach, na frontonach kamienic, na wieżach, przerzucają się tęczowym festonem przez ulice. Jarzą się światła latarń i lamp. Bije światło zza wielkich, kryształowych szyb. Migocąc światłem pędzą tramwaje, auta, kolejki elektryczne, z hukiem mkną pociągi nad ziemią, i tunelami, pod ziemią. Jarzy się wysoko dżadem i pochodnia statuy Wolności. Goreje światłami port, zawsze gotów na przyjęcie okrętów. Wszyst-



DRAPACZ NIEBA W NOWYM JORKU

ko tu migoce, lśni, mieni się, jak czarodziejska bajka.

Ale uszy rozrywa gwar i huk, oczy męczą się blaskiem, człowieka zaczyna przerażać ten warjacki ruch.

Bo Nowy Jork zdumiewa, olśniewa, ale i przytłacza, męczy swoim ogromem, pośpiechem, ruchem i gwarem, który nie ustaje nawet w nocy.

K. J.

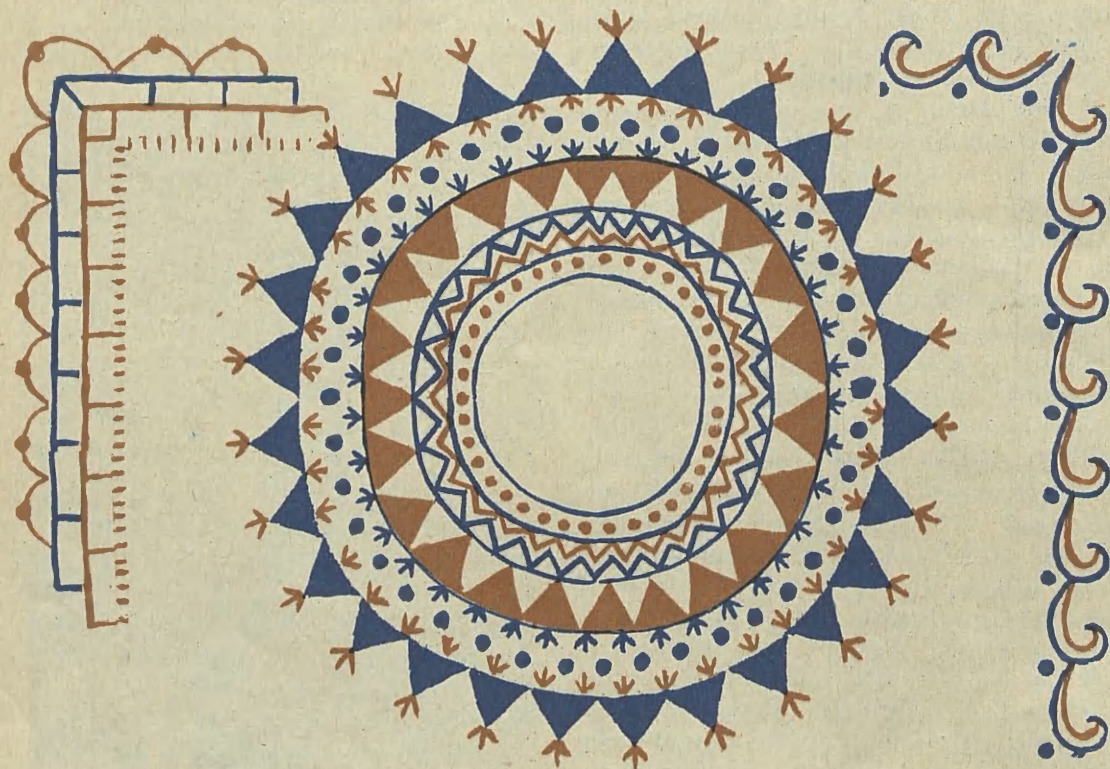
ROBIMY SAMI



S E R W E T K A

Serwetka kwadratowa, wzór z motywów kurpiowskich. Bok serwetki 35 cm, rysunki powiększyć o połowę. Wyszywana bawełniczką D. M. C. Nr. 25 na białym płótnie. Kolory wyszycia czarny i czerwony. Ścieg pocztowy, kropki i trójkąty wypełnione haftem płaskim, drobne gałązeczki i linje łamane zwykłym jednym ściegiem. koła i „fajki”

ściegiem pocztowy. Wykończona koronczką, robioną szydełkiem od razu do obrębów płótna. Ścieg szydełkowy: słupki raz nawijany, 5 oczek w powietrzu, drugi rząd kolorem czarnym tak samo, tylko słupki w środek dziurek, potem łańcuszek z 5 oczek, drugie 5 oczek na supełek i trzecie 5 oczek na dokończenie ząbka.





Radio program

Imieniny Pana Marszałka! W całej Polsce święto! W każdej szkole uroczystość! Wszystkie dzieci składają życzenia i hołd Temu, Który im dał polską szkołę. Tak, jak Wy w waszych szkołach — dzieci Warszawy zbiorą się w Radjo i tu w studio, przez mikrofon składać będą życzenia Drogiemu Solenizantowi. Będą mówiły wierszyki, grały, śpiewały piosenki... Napewno będą się starały wykonać to najpiękniej, jak tylko potrafią, bo może... może... wierszyki i piosenki ich usłyszysz sam Pan Marszałek? Jeśliście ciekawi tego po-winszowania przez radjo, to posłuchajcie audycji we wtorek (19.III) o g. 16.30.

A w poniedziałek (18.III) o g. 17.00 nadane będzie opowiadanie p. t. „Jak dzieci winszowały Panu Marszałkowi w 1919 roku” pióra G. Brzezińskiej. Opowiadanie to, które opisuje w sposób żywy i wzruszający przebieg uroczystości imieninowych w Belwederze w pierwszym roku odzyskanej wolności, macie zamieszczone także w dzisiejszym numerze „Płomyka”

We czwartek (21.III) o g. 12.05 odbędzie się audycja dla szkół. Nadana będzie pogadanka krajoznawcza p. t. „W murowanej piwnicy tańczyli zbójnicy”. Wszyscy znacie tę piosenkę i bar-

dzo lubicie, prawda? Więc też napewno domyśliliście się, że pogadanka będzie o górach i góralach. Pogadankę wygłosi wujaszek radjowy, p. H. Ładosz. Naturalnie będą piosenki i tańce góralskie. O g. 12.30 — *poranek muzyczny dla szkolnej młodzieży.*

W piątek (22.III) o g. 16.30 „skrzyneczka radjowa” w osobie p. Wandy Tartkiewicz pogawędzi z „rodzinką radjową” i omówi bieżącą korespondencję.

Na sobotę (23.III) o g. 18.00 Teatr Wyobraźni przygotowuje dla Was interesujące słuchowisko p. t. „Mały Bob i wielki Morgan” według opowiadania J. Ostrowskiego. Rzecz się dzieje w Ameryce, w New-Yorku. Mały Bob jest biednym, opuszczonym chłopcem, zdanym na łaskę losu. Ale Bob jest dzielny. Nie opuszcza rąk, nie płacze, nie szuka niczyjej pomocy. Sam własnym sprytem i pracą radzi sobie. Nawet pomaga przygodnemu towarzyszowi. A tak sobie mały „pucybut” dzielnie poczyną, że kto wie? Może będzie z niego w przyszłości wielki bogacz, jak sam pan Morgan?

W niedzielę (23.III) o g. 17.40 usłyszycie piękną bajkę fińską (poszukajcie sobie Finlandji na mapie północnej Europy), pióra poety Z. Topelnisa „O Sylwku i Sylwinie”.

W. T.

Listy od redakcji

Do Klas V i VI w Marcinkuńcach.

Bardzo podobały mi się Wasze projekty. Czy założyliście już Kasę Wycieczkową i ile złotych wpłynęło z pierwszego przedstawienia?

Jeżeli przyjdziecie do Warszawy, odwiedźcie redakcję, pięknie proszę.

Klasy V i VI szkoły w Marcinkuńcach napisały listy do szkół w Cieszynie, Wieliczce i Boryslawiu i dotąd nie do-

stały odpowiedzi. Czy listy nie doszły? — zapytują za pośrednictwem Płomyka.
Do Klasy VI w Ciechanowie.

Może obmyślicie jakiś sposób, żeby zebrać potrzebne fundusze na zakup nowych książek do biblioteki, kiedy wszystkie już przeczytaliście. Tych, o które prosicie, przysłać nie mogę, ponieważ niema książek w redakcji.

Do Dzieci w Błotach na Polesiu.

Obejrzelismy rysunki monet przez Was znalezionych.

Z wszelkimi wykopaliskami, jak: kości, sprzęty lub monety, zwracajcie się do Muzeum Krajoznawczego w Brześciu, oddział poleski.

Do Klas V i VI w Sworzycach.

Z przyjemnością czytałem długi list — tyle w nim ciekawych wiadomości i serdecznych słów dla „Płomyka”. Ślicznie Wam dziękuję.

Dobrze zostało zorganizowane słodkie przyjęcie dla dzieci szkolnych i byłych wychowanków.

Co tam jeszcze u Was słyhać od tego czasu?

Do Klasy VIa Szkoły powsz. Nr. 1 w Obornikach.

Wiele pamiątek drogich sercu Polaka znajduje się w Waszej okolicy — pewno o wszystkich pisaliście rodakom we Francji, prawda?

Z jakimi jeszcze szkołami prowadzi wymianę listów Sekcja korespondencyjna?

Nie gniewajcie się, że przysłanego listu nie umieściliśmy w piśmieku, ale to tylko z braku miejsca.

Józio Hop, ucz. kl. IV chętnie nawiąże korespondencję z chłopcem, który mieszka nad morzem. Kto napisze do Józia pod adresem: Państwowa Nadleśniczówka Klosnowo, p. Chojnice, Pomorze.

Do Klasy VI w Lasocinie.

Naturalnie, możecie założyć ogródek szkolny.

Najpierw ułóżcie plan: jakie kwiaty i warzywa chcecie mieć w swoim ogródku, ile grządek przeznaczacie na kwiaty, a ile na warzywa? Na wiosnę skop-

cie głęboko ziemię i dodajcie nawozu stajennego. Pozostanie jeszcze wygrabienie i wymierzenie grządek, oraz wyznaczenie ścieżek między grządkami.

Nasiona możecie dostać w następujących firmach w Warszawie:

Chomicz, ul. Zgoda 8,

Centralny Związek Kółek Rolniczych, ul. Kopernika 30.

Do Klasy IV w Brzustowcu.

W Warszawie jest bardzo wiele do oglądania i życzę Wam, abyście w tym roku wszystko na własne oczy zobaczyli.

W czasie wakacyj nocleg możecie dostać w szkole powszechnej Nr. 187 (ul. Czerniakowska 128). Cena — 50 groszy od osoby. Stale w ciągu roku szkolnego można nocować w gimnazjum Batorego (ul. Myśliwiecka 6). Cena — 1 złoty od osoby.

Do Józefa Habrata, ucz. kl. VII w Korczynie.

Modelu samolotu, o który prosisz, nie podamy, gdyż zrobienie nawet prostego jednopłatowca nastrocza wiele trudności.

Kup sobie w „Naszej Księgarni” w Warszawie, ul. Świętokrzyska 18, książkę p. t. „Modelarstwo lotnicze” Wojciech Woyna. Może skorzystasz z podanych tam wskazówek i uda ci się zrobić ten model.

Zdzisław Szymanowski, ucz. kl. VII w Gdyni, ul. Zygmunta Augusta 6 m. 78 prosi kolegów w Polsce i zagranicą o nawiązanie korespondencji celem wymiany znaczków pocztowych.

Klasa IV-b szkoły powsz. Nr. 188 w Warszawie, przy ul. Grójeckiej Nr. 93 chętnie nawiąże korespondencję ze szkołą z Wilna lub okolicy.

Klasa V-a szkoły powsz. w Turcu, pow. Stołpce, prosi jedną ze szkół warszawskich o nawiązanie korespondencji.

Do Klasy V-b szkoły powsz. Nr. 14 w Łodzi.

Z opisu podobał mi się obchód rocznicy powstania styczniowego. Zacieka-
wia mnie program uroczystości na imieniny Pana Prezydenta, — tak tajemniczo o tem pisać.

Dostałem list z życzeniami noworocznymi, tylko nie wiem, co się stało z kartą, na której wysłałem Wam odpowiedź.

St. Szuchowa — „Gospodarstwo Małdy i Jacka”. Wyd. „Roju”, Warszawa. W oprawie 3 zł. 50 gr.

Do Szkoły Powszechnej w Węgrowie. — To nie był turniej lotniczy z Anglii do Australji, lecz próbne loty, mające na celu ustalenie trasy, wyszukanie punktów, gdzie będą lotniska oraz zbadanie atmosfery, gdyż Anglii bardzo zależy na połączeniu Londynu z Australją. Byłaby to najdłuższa linja lotnicza, licząca prawie 19.000 kilometrów. Polacy w tych lotach udziału nie brali. Modele samolotów robią w szkole rzemieślniczej im. Konarskiego w Warszawie, Leszno 72.

Czytelnikom, którzy pytają mnie, jakie sztuczki grać w dniu 19 marca, podaję tytuły i ceny tych książeczek:

1. Który lepszy — Łabacz Krzepkowska (cena 40 groszy).
2. Na 19 marca — Turowiczówna (80 groszy).
3. Rozkaz — Schroeder (90 gr.).
4. Wódz — Reuttówna (40 gr.).
5. Nasz Komendant — Stolarzewicz (35 groszy).
6. I my dziewczęta wojować będziemy — Stolarzewicz (35 groszy).
7. Wodzowi narodu w hołdzie — Raort (90 groszy).
8. Obchód imienin Marszałka J. Piłsudskiego — Kielbiński (60 groszy).

Wszystkie te książeczki znajdują się w Naszej Księgarni w Warszawie, ul. Świętokrzyska Nr. 18.

NIE KAŻDY SNAĆNIE TO ODGADNIE

1. ZAGADKA

Wprost — to krótki miecz.
Lecz gdy czytasz wstecz
(i bez ostatniej litery)
— będą kwartały cztery.

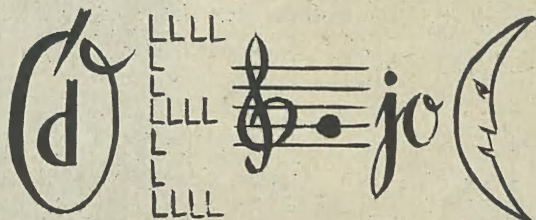
2. ZAGADKA

(nadesłał Michaś Piotrowicz)
Sękaty baranek
ma tysiące ranek.

3. ZAGADKA

Mocna to siatka, choć cienka,
nie ludzka spłotła ją ręka.

1. REBUS



ROZWIĄZANIA Z Nr. 27-go.

Układanka: rower, Agata, drozd, jadaj, oczko = radjo. Rebus: rozgłośnia nadaje. Szarada: antena. Pytanie: bo się nie zmieści.

POJEDYŃCZY NUMER „PŁOMYKA” KOSZTUJE 30 GR.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, WYBRZ. KOŚCIUSZKOWSKIE 35. (wejście od ul. Dobrej Nr. 6). Nr. telefonu administracji 2.69-49, redakcji — 5.38-26. Redaktor przyjmuje codziennie od godz. 1 do 3. Administracja czynna codzień od godz. 9 do 3.

Konto czekowe P. K. O.: „Związek Nauczycielstwa Polskiego — Zarząd Główny — Warszawa” — Numer konta 435.

PRENUMERATORÓW WARSZAWSKICH OBSŁUGUJE BIURO ADMINISTRACJI PRZY ULICY ŚWIĘTOKRZYSKIEJ 18, TEL. 5.22-18. BIURO CZYNNE OD G. 9-ej R. DO 7-ej W.

Redaktorzy: M. KOTARBINSKI i ST. MACHOWSKI. Kierownik artystyczny — K. PIENIAŻEK. Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — STANISŁAW MACHOWSKI.

KOMENDANT J. PIŁSUDSKI Z „KASZLANKĄ”

